Gniewianki w PRL

Opracowanie merytoryczne publikacji:
Stowarzyszenie Gniewski Uniwersytet III Wieku

Opracowanie graficzne:
StudioA Agnieszka Piecuch tel. 660 185 689

Zdjęcia pochodzą z archiwum członków
Stowarzyszenia Gniewski Uniwersytet III Wieku

Gniewianki w PRL

Dziewczyno z PRL-u
Wierz mi, proszę, na słowo
Że w żadnym KDL-u
Gdzie bawiłem służbowo
Nie ma takiej jak ty
Nie ma takiej na pewno.
(Jan Pietrzak)

Jak to się dzieje, że wciąż z wielkim sentymentem wspominamy czasy PRL-u, w pewnym sensie idealizując nasze dzieciństwo i młodość? Nie były one różowe, a jednak... Mimo wszystkich pozytywnych skojarzeń z czasami PRL-u, codzienne życie w socrealistycznej rzeczywistości nie należało do najłatwiejszych. Jedną z największych bolączek były ciągłe problemy z zaopatrzeniem. Najczęstszym widokiem na sklepowych półkach były puste kartony i butelki, a w latach 70. i 80. XX wieku żywność reglamentowano na kartki. Nie tylko Irena Kwiatkowska była „kobietą pracującą, która żadnej pracy się nie boi". Praca kobiet była w PRL zjawiskiem powszechnym. Większość pań pracowała na dwa etaty - w zakładzie pracy i w domu.

Oddajemy w ręce czytelników publikację „Gniewianki w PRL", w których mieszkanki naszego miasteczka podzielą się wspomnieniami ze swojej młodości oraz okresu pracy zawodowej. Wspomnienia te wpisują się we współczesną historię Gniewu, oddają koloryt tamtych czasów, czasami też opowiadają o miejscach, zakładach, których już nie ma.

Życzymy przyjemnej lektury. Niech będzie ona inspiracją do spisania własnych wspomnień i podzielenia się nimi z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi.

Zadanie zrealizowane w ramach projektu „Dawnych wspomnień czar" dofinansowanego ze środków Powiatu Tczewskiego oraz Gminy Gniew

Nie lubię narzekać

Rodzina pani Brygidy Urbańskiej pochodzi z Ciepłego. Nasza bohaterka dzieciństwo i młodość spędziła właśnie w tej miejscowości. Czasy te wspomina z wielkim sentymentem. We wsi działała świetlica, w której pracowała pani Ewa Dąbrowska. Tu mała Brygidka nauczyła się grać w warcaby, tu odbywały się seanse kina objazdowego, tu też miały miejsce potańcówki, na które przychodziła nie tylko miejscowa młodzież.

Pierwszą pracę pani Urbańska podjęła na stanowisku montera w Przedsiębiorstwie Techniczno-Produkcyjnego Unitech, wywodzącym się z Gniewskich Zakładów Podzespołów Radiowych Porad (znanych również jako T-20), które zostały założone w 1957 r. W 1990, po podziale Unitechu, utworzono samodzielnie przedsiębiorstwo pod nazwą Zakłady Podzespołów Elektroniki Unitra-Mikrostyk. W 1992 zmieniono nazwę na Zakłady Podzespołów Elektroniki Mikrostyk. Był to jeden z większych zakładów przemysłowych regionu. Posiadał nawet stołówkę zakładową, z której mogło skorzystać nawet 300 osób. Majstrem pani Brygidy był pan Jan Sobański.

Nasza bohaterka za pierwszą wypłatę kupiła pralkę – popularną wówczas „Franię". Po ślubie zamieszkała razem z mężem u babci w Ciepłym. Warunki mieszkaniowe były bardzo trudne. Pomieszczenia ogrzewano piecami kaflowymi, dostępna była tylko zimna woda. Pani Brygida gotowała na westfalce, czyli metalowym, wolno stojącym piecu kuchennym z żeliwną płytą grzejną. Potem rodzina przeprowadziła się do Gniewu na ul. 27 stycznia (wtedy jeszcze Świerczewskiego) do tzw. bloku famowskiego, a kiedy na początku lat osiemdziesiątych zaczęto budować Osiedle Witosa – w 1986 r.

otrzymali tu mieszkanie zakładowe. Mieszkańców z tego terenu zaopatrywał jeden sklep geesowski (obecnie mieści się tu piekarnia „U Karola"). Nie było jeszcze budynku przychodni zdrowia. Do lekarza chodziło się na ulicę Kościuszki. Po zakupy chodziło się „do miasta". Targowisko mieściło się wówczas na ulicy Spichrzowej, potem zostało przeniesione obok geesowskiego pawilonu „Jubilat". Parter pawilonu zajmowały stoiska gniewskich kupców. Sprzedawano tu odzież, obuwie, artykuły chemiczne itd.

Pierwsze meble państwo Urbańscy kupili w Pelplinie. Był to segment „Kaszub" - bardzo pakowna meblościanka. Sprzęty AGD trzeba było oczywiście wystać w kolejkach. Mąż pani Brygidy stał 24 godziny w kolejce po lodówkę. Dobra żona jadąc rowerem jeszcze z Ciepłego dowoziła mu kanapki. Niestety, ta „wystana" lodówka okazała się zepsuta. Czasy były takie, że jak przyszedł towar, to brało się, co było. Polacy posiadali pieniądze, ale mieli problem z ich wydaniem. Kolejki ustawiały się po wszystko. Żeby upiec ciasto na rodzinną uroczystość, mąż pani Brygidy razem z kolegami stawał w kolejce po masło, które „rzucano" rano i po południu.

Kiedy zaczęła się ustrojowa transformacja, pani Brygida po 13 latach pracy została zwolniona z Mikrostyku, ale pracowała w nim jeszcze chałupniczo. Jako kobieta pracująca, która żadnej pracy się nie boi, zatrudniła się potem w sklepie spożywczym u pana Pawlickiego na ul. Witosa, potem pracowała w sklepie pana Wieczorka na ul. Piłsudskiego. Kolejne lata pracy zawodowej to „Arotronik", który mieścił się na piętrze geesowskiego pawilonu „Jubilat". Kolejne 19 lat już do emerytury pani Brygida przepracowała w tczewskim Flextroniku. Dobrze wspomina czas związany z pracą w tym zakładzie, pomimo iż musiała dojeżdżać do Tczewa. Pamięta wystawne zakładowe uroczystości z okazji świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy.

Tak więc całe dorosłe życie zawodowe nasza bohaterka spędziła, mieszkając w Gniewie. Tu urodzili się jej dwaj synowie, którzy uczęszczali do Szkoły Podstawowej Nr 2 w Gniewie.

Młodszy syn pani Brygidy chodził do „zerówki", która mieściła się w obecnej salce katechetycznej. Dzieci było tak dużo, że kiedy poszedł do szkoły, trzeba było w ówczesnej „dwójce" utworzyć siedem równoległych klas. Pani Brygida uważa, że dawniej dzieci były bardziej zorganizowane, pomagały sobie, więcej czasu spędzały z kolegami na podwórku, grając w piłkę.

Będąc na emeryturze, nie przestał być aktywna. Jest słuchaczką gniewskiego uniwersytetu, dokształca się na kursach językowych, komputerowych. Z sukcesem brała udział w Pomorskiej Olimpiadzie Wiedzy Obywatelskiej, zajmując II miejsce w województwie.

Kobieta za ladą

Osoby starsze pamiętają kultowy czeski film „Kobieta za ladą" („Žena za pultem"). Taką gniewską kobietą, która całe swoje życie zawodowe spędza za ladą jest pani Celina Piaskowska.

Pani Celina to tczewianka, która nie do końca chciała mieszkać w Gniewie. Ale los pokierował nią tak, że tu znalazła swoje miejsce na ziemi. Do Gniewu przyjechała razem z mężem 10 dni po ślubie w 1984 roku. Młodzi małżonkowie kupili dom od pani Czajki na ul. Czyżewskiego. Znak tamtych czasów - prezent ślubny koleżanki kupiły jej, sprzedając makulaturę i otrzymując za to maszynkę do mięsa, młynek do kawy, sztućce firmy Gerlach. W latach 80., podczas kryzysu gospodarczego, wprowadzano różne zachęty dla ludności, m.in. talony wydawane za oddaną makulaturę, uprawniające do kupna luksusowych i poszukiwanych wówczas towarów (np. papieru toaletowego, artykułów gospodarstwa domowego, a nawet - sprzętu elektronicznego).

Wyposażenie mieszkania w podstawowy sprzęt nie było wówczas rzeczą łatwą. Dużą rolę odgrywały tu tzw. „znajomości", łut szczęścia i wielogodzinne stanie w kolejkach. Pani Celina wspomina, że przed pawilonem handlowym „Jubilat" stała całą dobę, czekając na towar. Okazał się, że przywieziono pralki „Polar". Udało się jej kupić dwie – jedną dla siebie, drugą dla siostry. Obecnie powraca moda na meble w stylu PRL. Dziś każda firma meblowa ma katalog takich mebli, zaś ogłoszenia o meblach po renowacji szybko znajdują chętnych. Wydaje się pozornie, że okres

PRL cechowała tandeta i szarzyzna. Nie do końca jest to prawda – były to meble solidne. Można je spotkać jeszcze w wielu mieszkaniach. A co do szarzyzny, to pani Celina przytoczyła tu ciekawostkę, że jej pierwsza kanapa i fotele były w kolorze pomarańczowym, a wykładzina zdobyta przez męża była zielona. I kto tu mówi o szarzyźnie? Pozostały sprzęt do mieszkania zdobywał już mąż. Jeździł po całej Polsce i co udało się, to kupował i zwoził do domu.

Pani Celina pierwszą swoją pracę rozpoczęła w sklepie WPHW (Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego), który mieścił się pod arkadami. Sprzedawano w nim zabawki, artykuły papiernicze, a nawet sprzęt wędkarski. Pani Celina pamięta długie kolejki, ciągnące się przez całe leby. Ludzie w nich stojący czekali na papier toaletowy. 20 lat temu i więcej papier toaletowy był szary, gruby, miał poszarpane krawędzie. A mimo to każdy go wtedy pożądał! Bo papieru notorycznie brakowało. Ludzie nazywali rolki nawleczone na sznurek różańcem albo koralami. Z czasem stały się one tak jak półki z octem symbolem braku towarów w PRL.

Potem pani Celina podjęła pracę w sklepie spożywczo–monopolowym u pana Wieczorka. Alkohol sprzedawano wówczas od godz. 13,00. Nasza bohaterka pamięta kolejki, jakie ustawiały się wówczas do stoiska monopolowego. Według kartek, dorosłemu Polakowi w PRL przysługiwało pół litra wódki lub butelka wina na miesiąc.

Potem pani Celina pracowała w sklepie spożywczym prowadzonym przez pana Kowalskiego na ul. Witosa (obecnie – piekarnia „U Karola"). Zanim otworzyła własną placówkę handlową, pracowała jeszcze u pana Jeleniewskiego w sklepie obuwniczym. W tym roku pani Celina będzie obchodzić 25-lecie samodzielnej działalności gospodarczej.

Lata 80. to czas kartek nie tylko na żywność. W lutym 1981 r. wprowadzono kartki na mięso, a 30 kwietnia na przetwory mięsne, masło, mąką, ryż, czy kaszę. We wrześniu na kartki kupowało się już mydło, proszek do prania oraz papier toaletowy, a nawet obrączki, czy garnitury i buty. W stanie wojennym kartki pomagały w zakupach czekolady, benzyny, alkoholu i butów. „Pomagały" było tu pojęciem względnym, bo kartki wcale nie gwarantowały tego, że dany towar uda się kupić albo, że uda się go dostać od razu bez stania w długich kolejkach. Pani Celina pamięta swój pierwszy kartkowy zakup w sklepie mięsnym. Kupiła żołądki wołowe, z których ugotowała potem flaki.

Pani Celina to nadal gejzer aktywności. Umiejętnie łączy pracę zawodową z opieką nad wnukami i znajduje jeszcze czas dla siebie. Nordic walking, jazda na rowerze, zumba gold, pływanie muszą obowiązkowo znaleźć się w tygodniowym grafiku zajęć. Pani Celina to także centrum logistyczne Gniewskiego Uniwersytetu III Wieku, za co bardzo serdecznie dziękujemy.

Gniew - moje miejsce na Ziemi

Pani Czesława Krzemińska z Gniewem związana jest od 1965 r. W naszym miasteczku rozpoczęła swoje życie zawodowe, pełne ciekawych wydarzeń, wyzwań, osiągnięć i wielu satysfakcji.

Zakład Mechanizmów Okrętowych „Fama" to pierwsze miejsce pracy pani Czesławy.

Jej bezpośrednim przełożonym był pan Czesław Czerwiński. Pani Krzemińska zajmowała się w Famie sprawami socjalnymi. To do niej należała m.in. organizacja wczasów, wycieczek, wyjazdów do teatru, zabaw. Stroje na zabawy wypożyczano nawet z gdańskiego teatru. Za tę działalność „Fama" została nagrodzona specjalnym wyróżnieniem w skali Zjednoczenia Przemysłu Okrętowego .

Trzy lata później pani Czesława została kierownikiem kawiarni „Marysieńka" na ówczesnej ul. Marchlewskiego. W planach Gminnej Spółdzielni SCh w Gniewie była budowa restauracji w miejscu dzisiejszego Rossmanna, przy dawnej ulicy Świerczewskiego. Szkoda, że nic z tego nie wyszło. W 1970 r. została przeniesiona do restauracji Zamkowa, gdzie szefem kuchni był Józef Dering. Przepracowała na tym stanowisku do 1982 r.

Wraz z jej przyjściem rozpoczął się okres modernizacji restauracji. Był to czas świetności tej gastronomicznej palcówki. Restauracja przygotowywała posiłki regeneracyjne dla różnych zakładów pracy. W czasie świąt lokalnych wydawano nieraz i 600 posiłków. „Zamkowa" organizowała dużo zabaw: sylwestrowych, karnawałowych. Szkoliła także uczniów szkoły zawodowej z Tczewa w zawodach kucharz i kelner. Restauracja może poszczycić się także sukcesami w zmaganiach o Srebrną Patelnię. W XII edycji konkursu „Zamkowa" zajęła I miejsce. Duże słowa uznania należą się w tym przypadku szefom kuchni: pani Marii Kamrowskiej oraz Jadwidze Grybek. Garmażerią zajmowała się wówczas pani Małgorzata Szwarc.

Na początku lat osiemdziesiątych pani Czesława otrzymała propozycję pracy na stanowisku prezesa zarządu Gminnej Spółdzielni SCH. Przyjęła na siebie ciężar odpowiedzialności za ten duży zakład, w którym pracowało ponad 300 osób i do którego należało 56 sklepów (spożywczych, nabiałowych, tekstylnych, elektrycznych, masarskich, piekarniczych, chemicznych, żelaznych) na terenie całej gminy Gniew, Dom Handlowy Jubilat, masarnia, piekarnia, 2 bazy opału, materiałów

budowlanych, skupu żywca w Gniewskich Młynach, rozlewnia piwa i oranżady, 2 młyny w Brodzkich Młynach i Kolonii Ostrowickiej, restauracja, 5 barów (Gniew, Gronowo, Opalenie, Kolonia Ostrowicka, Wlk. Walichnowy) oraz kawiarnia. Funkcjonowała także grupa transportowo budowlana.

Na rynku w Gniewie funkcjonował słynny bar „Bonanza", który w stanie wojennym ówczesny komandor Mirosław Kosmalski polecił z okazji Dania Kobiet przekształcić w bar mleczny.

Przewodniczącą rady nadzorczej Gminnej Spółdzielni była pani Jadwiga Jędra. Na ulicy Sobieskiego mieścił się zakład usługowy „Nowoczesna gospodyni", kierownikiem którego była pani Urszula Struczyńska. Zajmował się m.in. szyciem, wypożyczaniem naczyń.

Do ścisłego kierownictwa GS-u należeli: Roman Dereszkiewicz, który zajmował się sprawami rolnymi, Zdzisław Kubicki odpowiedzialny za handel, potem – Henryk Struczyński oraz główna księgowa - pani Gładykowska

Pani Czesława wspomina trudne lata 80., kiedy to trzeba było zmagać się z brakami w zaopatrzeniu. Pamięta, że przychodziło przygotowywać na konkurs potrawy nawet z koniny, które wg oceniających były bardzo smaczne.

Niestety, choroba pokrzyżowała wiele planów zawodowych i życiowych. Pani Czesława Krzemińska, przechodząc na emeryturę nie zrezygnowała z aktywności. Ujawniła się wówczas jej artystyczna dusza, która znalazła ujście w malarstwie i poezji. Wiele miejsca w wierszach i obrazach poświęca swojemu miejscu na ziemi – Gniewowi. Klika utworów poświeciła też Gniewskiemu UTW.

Uniwersytet – słowo dumne,
lecz gdy słyszysz ...trzeciego wieku,
mina nieco pochmurnieje,
Ale nie martw się człowieku
Tutaj zrobią z Ciebie ludzi
I nauka Cię nie znudzi (...)

Zawsze byłam dość odważna

Pani Daniela Kordowska to, jak wiele słuchaczek Gniewskiego UTW, rodowita gniewianka. Urodziła się nawet w gniewskim szpitalu. Jej rodzinny dom znajduje się na ulicy Drzymały. Tu spędziła dzieciństwo, młodość i pierwsze lata małżeństwa, które zawarła w 1971 r. Kilka lat później dzięki oszczędnościom na Książeczce Mieszkaniowej państwo Kordowscy otrzymali mieszkanie na ul. Kopernika. W zakupie wyposażenia mieszkania pomagały ORS-y, czyli Obsługa Ratalnej Sprzedaży, która była, obok PKO i PZU, najbardziej znaną instytucją finansową w PRL. Szczególną przychylnością ORS-u cieszyły się młode małżeństwa, które mogły uzyskać w nim nisko oprocentowane kredyty, które następnie zwracały w ratach określonej wysokości. I tak, dzięki ORS można było kupić np. telewizor w sklepie ZURT, mieszczącym się pod lebami.

Pani Daniela wspomina, że w tamtych czasach trudno było kupić w sklepie ładne ubrania. Stąd też duże wzięcie miały krawcowe. Pierwsze sukienki, bluzki i spódnice szyła pani Danieli Stanisława Różańska, mieszkająca na ul. Staszica. Suknię ślubną z prawdziwej koronki, kupionej w sklepie tekstylnym pod małymi lebami na Placu Grunwaldzkim (obecnie mieści się tu Sala Kameralna) uszyła jej pani Jadwiga Lis, jak twierdzi nasza bohaterka – wówczas najmodniejsza krawcowa w całym Gniewie. Potrójny welon był także wykonany ręcznie przez panią Kurhke z ówczesnej ul. Marchlewskiego.

Pierwszym miejscem pracy pani Danieli był sklep spożywczy GS, który był placówką handlową Państwowego Ośrodka Maszynowego, ale mogli też z niego korzystać inni mieszkańcy Gniewa. Kiedy dzieci państwa Kordowskich były już odchowane, pani Daniela podjęła pracę w Zakładach Wyrobów Metalowych, które początkowo mieściły się w budynku sali gimnastycznej SP Nr 1 w Gniewie, a potem zostały przeniesione na ul. Kusocińskiego (obecne zakłady Alarm-Tech). Pracowała tam jako monter podzespołów radiowych. Kiedy w Polsce w roku 1980 rozpoczęły się strajki robotników, przyłączył się do nich także zakład pani Danieli. Nasza bohaterka w tym czasie bardzo aktywnie włączyła się w działalność strajkową i kiedy powstał NSZZ Solidarność, została wybrana przewodniczącą Komisji Zakładowej Solidarności. Kiedy ogłoszono stan wojenny, w domu pani Danieli zjawiła się komisja i zażądała oddania związkowej pieczątki.

Po urodzeniu najmłodszej córki, pani Daniela przez kilka lat opiekowała się dziećmi i prowadziła dom. Kiedy córeczka była już większa, pani Kordowska podjęła pracę w PCK, którego gniewski oddział mieścił się najpierw w biurowcu przy świetlicy Famy, a potem w przychodni na ul. Witosa. Wcześniej w Morzeszczynie ukończyła kurs opiekuna PCK nad chorymi w domu, prowadzony przez panią Adelę Bistroń oraz panią Niemczyk, mąż której miał kwiaciarnię na ul. Kopernika. Pani Daniela opiekowała się m.in. panią Gertrudą Siebert. Pamięta, że jej podopieczna bardzo lubiła rozmawiać o książkach i teatrze. Warto tu przypomnieć, że pani Siebert z uczennicami gniewskiego Liceum Zawodowego przygotowała spektakl „Proces czarownic". Jedna z nich z sentymentem wspomina spotkania w mieszkaniu pani Siebert i szafy pełne ubrań, z których potem kompletowano stroje do przedstawienia. Zostało ono zaprezentowane na rynku podczas Gniewinek w 1976 r.

Czasy, w którym przyszło żyć młodym małżonkom były bardzo trudne. W sklepach zaczynało brakować wszystkiego. Potrzebne artykuły gospodarstwa domowego, żywność trzeba było wystać w kolejkach. Mąż pani Danieli pracował na zmiany w piekarni. Kiedy rano po piątej wracał z pracy ustawiał się w kolejkę do sklepu mięsnego, dwie godziny później zmieniała go żona, by kupić przydziałowy kawałek mięsa i wędliny. Po większe zakupy (meble, sprzęt AGD) formowano listy kolejkowe. Bywało, tak jak w przypadku pani Danieli, że stanęła w kolejce po pralkę, a wróciła do domu z lodówką, bo akurat ten sprzęt „rzucono" do sklepu.

Matki dwoiły się i troiły, by odpowiednio odziać swoje dzieci. W latach 80-tych na nowonarodzone dzieci przysługiwała wyprawka na książeczkę zdrowia. Śpioszki, kocyki, pieluchy flanelowe i tetrowe można było kupić w geesowskim „Jubilacie". Wyprane pieluchy rozwieszano na linkach między blokami. Niektórzy mieszkańcy, widząc to, żartowali, że „znów ten Batory przypłynął".

Pani Daniela skończyła też kurs kroju i szycia, organizowany przez Gminną Spółdzielnię, a prowadzony przez panie Urszula Struczyńską i Celina Dereszkiewicz. Dzięki temu nauczyła się dokonywać przeróbek i nawet wyczarować dla swoich córek ciekawe kreacje.

Pani Daniela Kordowska to obecnie szczęśliwa emerytka, spełniona mama, babcia i prababcia. Co prawda emerytura jest zasłużonym czasem odpoczynku, ale nasza bohaterka lubi, kiedy wokół niej coś się dzieje.

Dwa razy w życiu byłam multimilionerką

Pani Edyta Godula nie jest rodowitą gniewianką. Urodziła się i mieszkała w Nowej Cerkwi. Tu chodziła do szkoły podstawowej, stąd dojeżdżała do szkoły gastronomicznej w Tczewie. Żeby dojść do stacji kolejowej w Kulicach lub Morzeszczynie musiała pokonać 3 km i nie był to przyjemny spacer, zwłaszcza wiosną i jesienią, kiedy droga była błotnista. Trzeba była zakładać gumacze, które zostawiano pod wiatą na przystanku kolejowym. Jako uczennica szkoły gastronomicznej nosiła mundurek: bluzę z białym kołnierzykiem i spódnicę. W tamtych czasach, na początku lat sześćdziesiątych dziewczęta nie nosiły spodni.

Po ukończeniu szkoły i osiągnięciu pełnoletniości pani Edyta rozpoczęła pracę w geesowskiej klubokawiarni w Nowej Cerkwi. Była to placówka handlowa wyposażona w salę do konsumpcji, prasę, telewizor i gry planszowe. Można było tu wypić kawę, zjeść ciastko. Dzięki pracy w klubokawiarni pani Edyta nauczyła się grać w szachy, tenisa stołowego. Umiejętności te wykorzystuje do dziś podczas olimpiady sportowej uniwersytetów trzeciego wieku.

W 1968 r. pani Edyta wyszła za mąż. Pan Godula pochodził spod Łeby, a w Nowej Cerkwi w geesowskiej piekarni znalazł pracę piekarza. Miał też kwalifikacje stolarza, więc po likwidacji piekarni zatrudnił się w stolarni w Rudnie. W 1973 r. państwo Godula przeprowadzili się do Gniewu. Zamieszkali na ulicy Górny Podmur. Mąż pani Edyty pracował w piekarni, a ona sama, zgodnie z kwalifikacjami – w stołówce Mikrostyku. Pracy było dużo, o na obiady przychodziło nawet do 300 osób dziennie. Rano dla pracowników przygotowywano mleko i kawę. Kiedy stołówka została zamknięta, pani Edyta podjęła pracę na montażu. Początki były bardzo trudne, nasza bohaterka miała problemy z wyrobieniem normy. Rozglądała się nawet za nową pracą, ale z czasem coraz lepiej dawała sobie radę i została w Mikrostyku, mając swój udział w produkcji podzespołów do telewizorów, telefonów, radia. Elementy, które wykorzystywała w pracy były bardzo małe, trzeba było wytężać wzrok, który stawał się coraz słabszy. Pojawiła się też choroba zawodowa. Pani Edyta była uczulona na niektóre składniki występujące w wytwarzanych podzespołach. Otrzymała skierowanie do Poradni Chorób Zawodowych i tam leczyła się przez długie lata. Otrzymała rentę i wtedy po raz pierwszy została milionerką, gdyż dostała na starcie 13,5 mln złotych. Kupiła za to telewizor i radio. Będąc na rencie, podjęła pracę chałupniczą – łuskanie orzechów. Niestety, prawodawca okazał się nieuczciwy i nie płacił wynagrodzenia. Razem z innymi wniosła pozew do Sądu Pracy i otrzymała odszkodowanie. Dostała wtedy 20 mln i to był ten drugi raz, kiedy została multimilionerką. Potem pracowała jeszcze w zakładzie pracy chronionej na ul. Witosa (dzisiaj mieści się tu piekarnia). Szyto tu ubrania robocze, a nawet alby dla parafii ks. Jankowskiego w Gdańsku.

PRL był trudnym czasem dla ludzi pracy. Dzisiaj wspomina się to z sentymentem, przede wszystkim dlatego że były to czasy naszej młodości. Ale na rynku brakowało wszystkiego i trzeba było nie lada sprytu i zaradności, żeby zdobyć dla rodziny pożądane sprzęty, artykuły żywnościowe. Pani Edyta pamięta, że za talon otrzymany jeszcze podczas pracy w Mikrostyku kupiła wirówkę, którą należało postawić na nadmuchanym „pontonie", a podczas wirowania należało bardzo uważać, żeby się nie przewróciła. Kiedy zepsuła się pralka, mąż pani Edyty stanął w nocnej kolejce po ten sprzęt. W dzień zastąpiła go nasza bohaterka. Niestety, pralek nie przywieziono, tylko kotły do gotowania bielizny. No cóż, z braku laku dobry i kit. Do dziś kociołek zalega na strychu. A pralkę „Frania" z wyżymarką pani Edyta wystała przy następnej dostawie. Po meble do mieszkania kolejka ustawiała się przed pawilonem Jubilat. Tu stoisko meblowe prowadził pan Jan Grossa.

Kiedy przyszedł Gierek, na początku ludziom żyło się trochę lepiej. Państwo Godulowie mieli sześcioro dzieci, więc zasiłku rodzinnego otrzymywali tyle, ile razem wynosiły ich pensje. Pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęło brakować na rynku kolejnych grup artykułów. Ludzie mieli coraz więcej pieniędzy, za które mogli coraz mniej kupić. Od 1981 roku wprowadzono kartki na mięso. Pani Edyta pamięta, że kiedyś całą noc stała z synem do rzeźnika. Była czwarta lub piąta w kolejce, by po

otwarciu sklepu dostać pół kilograma mięsa na ośmioosobową rodzinę. Stojąc w kolejce po masło, dostała jedną kostkę, którą od razu zjadły dzieci, smarując nią chleb. Pani Edyta wspomina, że miała bardzo zaradnych synów. Kiedyś wysłała najstarszego po chleb. Ten wrócił po dwóch godzinach, bo kilkanaście razy ustawiał się w kolejce po mydło i przyniósł do domu 30 kostek.

W 1988 roku państwo Godulowie otrzymali 5 – pokojowe mieszkanie na ul. Sobieskiego. Mieszkania przydzielała gminna komisja, która wcześniej sprawdzała warunki mieszkaniowe rodzin, które złożyły wnioski o przydział. Nowe mieszkanie trzeba było wyposażyć. Meblościankę do dużego pokoju kupiono, tak jak poprzednio u pana Grossy w pawilonie. A meble do dziecięcych pokojów zrobił sam pan Godula, który wówczas pracował w stolarni w Lipiej Górze.

W przetrwaniu tych ciężkich czasów i wychowaniu szóstki dzieci pomogły pani Edycie paczki, jakie otrzymywała zza granicy. Była w nich odzież, zabawki, środki czystości, kawa. Pani Edyta jest bardzo wdzięczna za okazaną pomoc.

Dziś nasza bohaterka nadal jest bardzo aktywna. Jako słuchaczka gniewskiego uniwersytetu trzeciego wieku bierze udział praktycznie we wszystkich organizowanych działaniach, z sukcesem reprezentuje uniwersytet w zawodach sportowych. Jest wielką optymistką oraz źródłem wielu tzw. mądrości życiowych, które przy każdej okazji sypią się jej jak z rękawa.

Co mieściło się w Galerii Piłsudskiego

Pani Elżbieta Kraszewska to urodzona gniewianka. Wychowując się w Gniewie, chodząc po jego ulicach dogłębnie poznała to miasto, widziała, jak się zmienia i staje się coraz ładniejsze. Z tym średniowiecznym miasteczkiem związała swoje życie zawodowe i rodzinne.

Przez wiele lat mieszkała na ulicy Świerczewskiego, obecnie – 27 stycznia. W kilka miesięcy po ślubie młodzi małżonkowie przeprowadzili się na Osiedle wówczas XX-lecia (obecnie Kopernika). Pani Ela pamięta, że meble do mieszkania kupili wówczas w geesowskim pawilonie „Jubilat", mieszczącym się przy ul. Świerczewskiego. Prawie każda ówczesna gospodyni posiadała wirnikową pralkę – poczciwą „Franię". To chyba najpopularniejszy sprzęt poprzedniej epoki. Do pralki przymocowana była wyżymarka. Później przyszedł czas na pralki automatyczne, które w Polsce zaczęto produkować na początku lat lat siedemdziesiątych. Najpopularniejszą z nich był „Polar". Taką też nazwę posiadała lodówka. Podobno w wielu domach ten sprzęt pracuje do dziś. Na wyposażeniu domu był też oczywiście odkurzacz, produkowany przez Predom-Zelmer, zwany wtedy popularnie ze względu na swój kształt – „jamnikiem".

Najpopularniejszym telewizorem był „Rubin", potem pojawił się „Neptun". Polskie rodziny w latach siedemdziesiątych mogły oglądać „aż" dwa programy telewizyjne. Muzyki słuchało się z płyt winylowych na adapterze marki np. Bambino. Płyty pocztówkowe można było dostać w sklepie pani C. Grzegorczyk na Placu Grunwaldzkim. Potem pojawiły się radiomagnetofony Grundig. Każda szanująca się gospodyni posiadała także prodiż służący do pieczenia ciasta, opiekania i pieczenia mięs czy pasztetów. Pani Ela dostała właśnie taki prodiż w prezencie ślubnym.

Gdzie gniewianki robiły zakupy? Pani Ela chodziła po nabiał do sklepu, prowadzonego na ul. Marchlewskiego przez panią Dorkę Piontkowską. Była też klientką sklepu nabiałowego pod arkadami, w którym wraz z żoną pracował pan Skwierczyński. Po mleko chodziło się tam z kanką. Po chleb szło się na ul. Pod Basztą do piekarni pana Krelinga. Pieczywo sprzedawane było z okienka, w które wcześniej trzeba było zastukać. Ciasto i słodkie rogaliki pani Ela kupowała w sklepie u p. Alfonsa Heldta (obecnie piekarnia „U Karola"). Wyposażenie sklepu było nieco inne. Przy drzwiach stała kasa, a stoliki, przy których można był zjeść ciastko, mieściły się

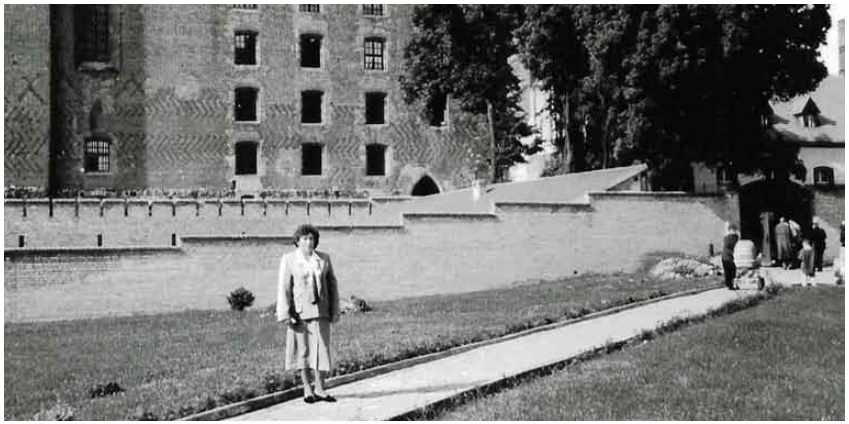

w głębi lokalu. Sklep rybny mieścił się w budynku przy Urzędzie. Pracował w nim pan Ossowski z żoną.

A gdzie można było wypić kawę? W kawiarni „Marysieńka" na ul. Piłsudskiego (obecnie Kebab), w „Kolorowej" na ul. Brzozowskiego, no i w restauracji „Zamkowa" na dawnej ul. Świerczewskiego. W latach 80-tych niedaleko parku działał Zajazd Sobieski. Kulturalną rozrywkę oferowało kino „Pionier" mieszczące się przy ul. Gdańskiej (obecnie własność ogródków działkowych).

Pani Ela potrafi opowiedzieć o wszystkich sklepach, warsztatach rzemieślniczych, punktach usługowych mieszących się ulicy Piłsudskiego w czasach jej dzieciństwa i młodości. Od zawsze była to ulica wybitnie handlowa. Nic więc dziwnego, że na początku XXI wieku działała tu Galeria Piłsudskiego.

Na miejscu obecnego sklepu ABC mieścił się spożywczy kiosk GS, w którym pracowały panie Świrbutowicz i Pielecka. Potem pan Z. Megger wybudował sklep mięsny, przekształcony potem w rowerowy. Tu, gdzie obecnie mieści się bank BNP Paribas dawniej był sklep odzieżowy pana Ziółkowskiego, a później – sklep spożywczy p. W. Wieczorka.

Miejsce apteki nie zmieniło się, wcześniej należała to rodziny Wejznerowskich. Podobnie – piekarnia, którą wcześnie prowadził pan Puczyński. Obecny sklep monopolowy Borris ma sporą historię. Mieścił się tu .in. sklep mięsny prowadzony przez panią Szulc. Za sklepem była wędzarnia pan Manuszewskiego. Potem funkcjonował tu sklep spożywczo – warzywny pana Sielskiego oraz sklep spożywczy „Gośka". Na miejscu obecnego sklepu chemicznego stał kiosk Ruchu prowadzony przez panie Wiecką i Klein. Kolejny sklep na tej ulicy nie zmienił swojego asortymentu. Jego właścicielkami wcześniej były panie Amalia Credy Ziółkowska oraz pani Ponczek.

W miejscu obecnego sklepu „Galanci skład" wcześnie był sklep mięsny pana Jakusza Gostomskiego, potem nabiałowy prowadzony przez p. Dorkę Piontkowską, oraz warzywny tczewskiego Malinowa. Tu, gdzie obecnie działa sklep odzieżowy po schodkach był sklep chemiczny p. A. Bielińskiej oraz spożywczy p. Kujawy. W miejscu obecnego sklepu kosmetycznego mieściła się naprawa sprzętu elektrycznego pana Józefa Wilgorskiego. Kolejna placówka handlowa nie zmieniła swojego asortymentu. Wcześniej też była tu kwiaciarnia prowadzona przez Eugenię i Wiktora Megger. Poprzedniczką sklepu obuwniczego była księgarnia prowadzona przez pana Penkallę, a sklepu „Drobik" - geesowski sklep spożywczy.

Na początku prawej strony ulicy Piłsudskiego, w dawnej kamienicy J. A. Klein był geesowski sklep metalowy. Sprzedawano w nim nawet naftę. W kamienicy mieściła się Spółdzielnia Inwalidów, w której naprawiano obuwie. Potem kamienicę ku-

pił Z. Ropiak i mieściły się tu sklepy AGD, RTV, chemiczny. Z tyłu kamienicy (obecnie apteka) działał samoobsługowy sklep spożywczy. Zmiana właściciela kamienicy spowodowała powstawanie nowych sklepów, w tym także gospodarstwa domowego prowadzonego przez p. J. Cieślowskiego. Tu, gdzie obecnie znajdują się sklep odzieżowy i fryzjer, wcześniej działał zakład tapicerski p. J. Papki. Potem mieścił się tu sklep „1001 drobiazgów" prowadzone przez p. D. Draim, a potem p. Czyżewską. Z tyłu kamienicy mieściła się Pasmanteria pp. Grybek. Wszyscy pamiętamy kawiarnię „Marysieńka", którą prowadziła pani M. Kamrowska oraz sklep papierniczy po schodkach p. M. Rożek. Dalej – kamienica należąca dawniej do pp. Soleckich. Mieścił się tu bar restauracja „Polonia" prowadzona przez pp. Pilarskich. Potem działał tu sklep spożywczy HSI. Poprzednikiem „Murmexu" był sklep spożywczo-warzywny p. Śladowskiej. Za nim funkcjonował zakład zegarmistrzowski pana E. Dylewskiego. Mieścił się tu także sklep z artykułami wędkarskimi.

Kolejny budynek należał kiedyś do pp. Kurhke. Działał tu zakład fryzjerski, w którym pracowali panowie Kurhke oraz Kurcaba. Potem mieściła się tu pracownia fotograficzna p. A. Frosta. Tu, gdzie obecnie znajduje się sklep „Styl za grosze" dawniej był sklep mięsny prowadzony przez p. Stolc oraz spożywczy i mięsny pp. Z. L. Kleister.

W budynku należącym do pp. Urbańskich dawniej mieścił się sklep drogeryjny P. Łukiewskiego, potem najemcy się zmieniali: był tu sklep obuwniczy, Orange, zakład fryzjerski, sklep z odzieżą używaną. Ostatni na ulicy Piłsudskiego – pawilon należący do p. Skowyra. Wcześniej działał tu Zakład Inwalidów „Nowa Elektronika", potem sklep odzieżowy, zakład złotniczy, fryzjer damski (p. Mierzejewska, Wasilewska) oraz pasmanteria.

Od lat 70-tych Gniew się bardzo zmienił. Nie ma już wielu placówek handlowych, usługowych, warsztatów rzemieślniczych, ale w ich miejsce pojawiły się nowe. Stare Miasto nadal kwitnie handlem, a odnowione budynki mieszkalne, zrewitalizowane ulice cieszą oko nie tylko mieszkańców Gniewa, ale też przyjeżdżających tu turystów.

Aktywność to cecha pani Eli, słuchaczki gniewskiego UTW, która uczestniczy w wielu zajęciach tej „najstarszej" w Gniewie uczelni. Pasją naszej bohaterki jest także działka, a efektami swojej ogrodniczej pracy szczodrze dzieli się ze znajomymi.

Wspomnienia z PGR-em w tle

Jednym z symboli PRL były Państwowe Gospodarstwa Rolne. Posiadały po kilkaset hektarów ziemi, duże – jak na ówczesne czasy – maszyny, ogromne stada zwierząt i sporo rąk do pracy. Funkcjonowały praktycznie w każdej gminie.

Pani Ewa Dunajska po ukończeniu szkoły średniej została skierowana na staż do PGR w Kursztynie, w którym hodowano trzodę chlewną, bydło, uprawiano zboża. Tu poznała tajniki pracy urzędniczej: od sekretariatu, poprzez magazyn, kadry aż do księgowości. Dyrektorem PGR był wówczas pan Jan Komorowski, a główną księgową pani Maria Piór, która otoczyła naszą bohaterkę merytorycznym wsparciem i opieką. W Kursztynie pani Ewa przepracowała 2 lata. Do pracy dojeżdżała z Gniewu dostosowanym do przewozów Starem. Pracownicy nazywali ten pojazd „Barbapapa". W budynku PGR mieściły się nie tylko biura. W pomieszczeniach piwnicznych była stołówka pracownicza, na parterze działało przedszkole zakładowe. Przygotowano także znakomicie wyposażony gabinet stomatologiczny. Dentysta przyjeżdżał do Kursztyna dwa razy w tygodniu.

Główny zarząd PGR w gminie Gniew znajdował się w Gniewskich Młynach. Podlegały mu zakłady w Kursztynie, Cierzpicach, Brodach Pomorskich, Ciepłym. Kiedy nastąpiła reorganizacja, pani Ewa została zatrudniona w Zakładzie Usług Socjalnych przy PGR w Kursztynie. Jej zadaniem było m.in. przygotowanie obiektów kolonijnych na wypoczynek letni dzieci. Letnie kolonie mieściły się w szkołach. Dzieci jeździły do Jeleniej Góry, Gdyni. PGR zadbał o najbiedniejszą młodzież: kupował dla niej na wyjazd walizki, odzież, obuwie. Na tym terenie sporo było rodzin wielodzietnych, liczących nieraz i kilkanaścioro dzieci. Większość korzystała z wypoczynku letniego. Dzieci wyjeżdżały także na tygodniowe zimowiska do Warszawy i Białowieży. Do Warszawy do „Domu Chłopa" na tygodniowe wczasy wyjeżdżali za niską odpłatnością także dorośli. Pani Ewa pamięta wyjazdy organizowane z okazji Dnia Kobiet. Raz w roku wyjeżdżało się do teatru, w restauracji zamawiany był obiad. PGR Gniewskie Młyny posiadał ośrodek wczasowy w Jantarze i z takiego wypoczynku pani Ewa korzystała co roku.

PGR–y dla swoich pracowników budowały mieszkania. Pani Ewa otrzymała je w bloku w Gniewskich Młynach.

Po kolejnej reorganizacji PGR na początku lat osiemdziesiątych pani Ewa trafiła do Borkowa. Tu zaczęła pracę na stanowisku magazyniera. Przy PGR działała świe-

tlica. Dla robotników sezonowych z Kieleckiego, którzy przyjeżdżali tu „w buraki", przygotowano specjalne baraki, uruchomiono nawet pralnię. W PGR Borkowo hodowano krowy, owce, kury. Jagnięta i cielaki szły na eksport.

Pracownicy PGR-ów i ich rodziny żyli jak w enklawie – mieli zapewnioną pełną opiekę socjalną i z punktu widzenia samodzielnego rolnika o nic nie potrzebowali się martwić. Zarządca dbał o wszystko, a więc pracownicy nie musieli troszczyć się o takie sprawy, jak opieka zdrowotna, zaplecze gospodarcze, zaplecze edukacyjne i kulturalne, komunikacja. Były one załatwiane odgórnie. PGR-y zapewniały nie tylko pracę, ale również stołówki, szkoły, świetlice, przedszkola, wczasy i kolonie dla dzieci, transport lokalny. Pracownicy mieszkali w specjalnie wybudowanych osiedlach. Dla nich transformacja ustrojowa, choć mieli nadzieje na lepsze, nie oznaczała nic dobrego. Z dnia na dzień stracili pracę. Decyzja o likwidacji Państwowych Gospodarstw Rolnych zapadła w 1991 roku. – To była tragedia. Wieś jakby zatrzymała się w miejscu.

W tym trudnym czasie pani Ewa zwolniła się z pracy w PGR. Po otrzymaniu odprawy prowadziła z mężem bar „U Oga".

Dla polskich rodzin najtrudniejsze były lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte. Kojarzą się z dwoma słowami: praca i stanie w kolejkach, w których stało się po wszystko. Pani Ewa wymarzyła sobie maszynę do szycia. Wiedziała, że poszukiwany towar w określonym dniu trafi do pawilonu handlowego. Czekała na niego cała noc, siedząc w popularnej wówczas Syrence. Niestety, maszyny do szycia przyszły, ale nie takie, na które pani Ewa czekała. Oczywiście, kupiła jedną i ta szczęśliwie służy jej do dziś.

Nasza bohaterka uważa, że w życiu najważniejsza jest rodzina. Nie korzystając z urlopów wychowawczych, wychowała troje dzieci, z których jest bardzo dumna. Pani Ewa Dunajska przed kilku laty zaangażowała się w działalność Gniewskiego Uniwersytetu III Wieku. Jest jednym z jego filarów. Za swoją działalność społeczną została wyróżniona Na Gminnej Gali Wolontariatu.

Jesteśmy wśród swoich

Ze wspomnień pani Ewy Wieckiej

Nie jestem rodowitą gniewianką. Urodziłam się w Tczewie i dopiero 1964 roku przed Świętami Wielkiej Nocy przeprowadziliśmy się do Gniewu na Osiedle XX- lecia. W Szkole Podstawowej Nr 1 uczyłam się przez cztery lata: od klasy piątej do ósmej. Potem internat i nauka w Technikum Przemysłu Skórzanego w Starogardzie Gdańskim, które przygotowywało do pracy w Nadbałtyckich Zakładach Przemysłu Skórzanego w tym mieście. Neptun był kiedyś - obok Polpharmy - chlubą Starogardu Gd., nazywanego Łodzią Północy. Firma ta zatrudniała ponad 2000 osób i wytwarzała miliony par obuwia rocznie. W styczniu 1974 r. podjęłam pracę w ZMO Fama w Gniewie, najpierw w dziale zaopatrzenia, a potem w księgowości i w kasie zakładowej. W tym czasie dyrektorem naczelnym był Pan Rybicki a dyr. ekonomicznym Pan Moritz. Jednocześnie w systemie zaocznym podjęłam naukę w Technikum Ekonomicznym w Tczewie.

W grudniu 1978 wyszłam za mąż za Ryszarda, który samotnie wychowywał dwóch synów. W następnym roku wspólnie z mężem zdecydowaliśmy się na nową działalność – w Szprudowie wydzierżawiliśmy 3 ary ziemi i rozpoczęliśmy uprawę pomidorów pod folią. To był mój żywioł: posadziliśmy 2500 krzaków pomidorów, hodowaliśmy rozsady warzyw i kwiatów. Nasze produkty sprzedawałem na rynku w Gniewie, a mąż pracował w ZMO Fama Gniew i uczył przedmiotów zawodowych w Zasadniczej Szkole Przyzakładowej i Technikum Przedsiębiorstwa Techniczno-

Produkcyjnego „Unitra – Unitech. Był to okres, w którym coś w sklepach można było kupić. Do dziś pamiętam, jak na dzień Dziecka mąż sprezentował mi talon na zamrażarkę (do odbioru wrzesień-październik 1981). W tym czasie w Gniewie było można kupić tkaniny w sklepie pod „ małymi lebamii", a obok w pasmanterii – wełnę. I tak, sprzedając na rynku pomidory i czekając na klientów - robiłam dużo rzeczy na drutach: swetry, sukienki, spódnice. Miałam też dostęp do „ Burdy" i „ Świata Mody" , gdzie znajdowałam wykroje i sama szyłam dla siebie, a nawet spodnie dla chłopaków.

W grudniu 1981 kupiliśmy stary dom z 0,55 ha z ogrodem w Opaleniu. Uprawialiśmy truskawki na sprzedaż, owoce i warzywa pod folią. W tym czasie żywność była reglamentowana. Jeśli ktoś miał gospodarstwo powyżej pół hektara (a my takie mieliśmy), to części kartek, a czasami wszystkich, - w zależności od czasu - nie dostawał. Ówczesne władze uważały, że mogliśmy sami sobie żywność produkować. Mimo tych problemów dnia codziennego, uważaliśmy ten okres naszego życia był bardzo szczęśliwy. Życie na wsi w tych czasach nie było takie złe, robiłam przetwory z warzyw i owoców, hodowaliśmy gęsi, kaczki, kury - jajka sprzedawałem, a od rolników można było kupić pół świni po uboju.

W 1985 roku mąż został Dyrektorem w Bałtyckim Uniwersytecie Ludowym w Opaleniu (1981-1989), a w 1986 roku zostałam namówiona przez dyrektora Narcyza

Kozłowskiego, by podjąć pracę jako wychowawca w internacie i kierownik biblioteki. Egzaminy bibliotekarskie zdałam w Elblągu. Bałtycki Uniwersytet Ludowy funkcjonował pod patronatem Zarządu Głównego ZMW w Warszawie. Słuchaczami byli aktywiści ZMW ze wsi, których przygotowywano do pracy w wiejskich ośrodkach kulturalno- oświatowych. Szkolenia trwały od 3 -6 miesięcy w systemie stacjonarnym z zakwaterowaniem w internacie i pełnym wyżywieniem. Kursanci uczyli się obsługi nowoczesnych sprzętów audiowizualnych, pracy w zespołach i kontaktów z okolicznymi mieszkańcami poprzez spotkania, występy teatralne, wspólne ogniska i gry terenowe. Były też zajęcia przygotowujące do opracowania kosztorysów i rozliczeń organizowanych różnych imprez na terenie swojej działalności. Dodatkowe tematy jak: historia ruchów ludowych i uniwersytetów ludowych, zakładanie bibliotek, czytelnictwo oraz kuchnia regionalna prowadzono w grupach dla zainteresowanych. Dużym zainteresowaniem cieszyły się spotkania z twórcami i artystami ludowymi, przedstawicielami podobnych ośrodków szkoleniowych z Kaszub a nawet ze Szwecji. Kolejnym tematem było zakładanie ogrodów warzywnych i zielarskich oraz sposoby wykorzystania zbiorów.

Pracowałam w bibliotece, ale oczywiście ogród i uprawy były najważniejsze. I tak nastał sierpień 1987 i emigracja do Niemiec. Dom i chłopcy, którzy mieli już wykształcenie i pracę, pozostali w Polsce. Szczęśliwy koniec tej „ tułaczki" nastąpił w maju 2016 - wróciliśmy na stałe do kraju! W roku 2019, zachęceni przez koleżankę, przystąpiliśmy do wielkiej Rodziny UTW w Gniewie. Po tak długim okresie wyobcowania znaleźliśmy się wśród Swoich.

Szlakiem szkolnych wycieczek

Ze wspomnień pani Haliny Kaczmarek

Pracę rozpoczęłam w 1977 r. w Szkole Podstawowej Nr 1 w Gniewie jako wychowawca świetlicy, a od 1978 r. – jako nauczyciel chemii i fizyki w Szkole Podstawowej Nr 2. Kiedyś program nauczania chemii w szkole podstawowej był ciekawszy dla ucznia, podręcznik – małych rozmiarów i cienki, a program mniej teoretyczny. Emanował optymizmem, a opis lekcji krótki – wyzwalający pytania i wzbudzający zaciekawienie rozwijającym się przemysłem metalurgicznym, hutniczym, przetwórstwa spożywczego.

Gniew z czasów mojej młodości był miastem bardzo uprzemysłowionym. To tu co rano zakładowymi autobusami, osinobusami przyjeżdżali pracownicy z Opalenia,

Nowego, Skórcza. Przybywali też pociągiem z Morzeszczyna - tzw. gniewską baną, w której było zawsze ciepło, miło, swojsko, wszyscy się znali. Pociąg, a właściwie lokomotywa ze spalinowym wagonem, czekał na ostatnim peronie. Był zawsze był otwarty i czekał na podróżnych z Bydgoszczy lub Gdańska. Można było spotkać w naszej „banie" kolejarzy jadących na nocleg do gniewskiej stacji – skorych do rozmowy po ciężkim dniu „na torach". W budynku stacji mieściła się noclegownia. Z moim synkiem chodziłam na spacer rowerkiem w ruiny zajezdni kolejowej dla lokomotyw węglowych. Stał tam jeszcze, we wczesnych latach 80, żuraw metalowy, obrotowy do uzupełniania wody lokomotywom kopciuchom. Stąd u Tuwima „ para buch, koła w ruch".

Gdy w kl. VII rozmawiałam z dziećmi o metalach, ich otrzymywaniu i zastosowaniu mogłam pójść w latach 1978-1982 do Famy i pokazać piec hutniczy do wytopu surówki – najprostszej stali węglowej. Wystarczyła jedna lekcja na krótką wycieczkę, gdyż odlewnia mieściła się tuż za boiskiem mojej szkoły.

Również blisko, bo w budynku obecnego Hotelu Rycerskiego mieściła się galwanizera. Chodziłam tam z klasami ósmymi, aby pokazać prawdziwą chemię, gdy rozmawialiśmy w ramach elektrochemii o ogniwach i elektrolizie, bateriach. W domu niektóre roczniki w ramach zadania domowego rozkładały baterie płaską na ogniwa. Potem sobie wyjaśnialiśmy, dlaczego się tak pobrudzili. Kiedyś w latach 50, 60 ubiegłego wieku do tego budynku można było wejść tylko „ wtajemniczonym osobom", gdyż mieścił się tam zakład produkcji „S"- pilnie strzeżony. Srebrzyło się, miedziowało końcówki metali w roztworach cyjanków. Widzieliśmy, jak w zbiorniczkach przypominających kubełki zachodziły reakcje pokrywania metali nieszlachetnych metalami bardziej szlachetnymi. Były to wycieczki z połową klasy, gdyż w latach 70 i początek 80 lekcje chemii i fizyki odbywały się w grupach.

Co roku odwiedzaliśmy wysypisko śmieci „ na Owczarni" w lesie między Nicponią, a Piasecznem. Byliśmy z młodzieżą na otwarciu tego wysypiska zbudowanego z funduszy zagranicznych. Duże wrażenie na młodzieży wywierały spychacze, które ugniatały śmieci oraz samochody, które wysypywały śmieci, a przy wyjeździe każdy samochód musiał przejechać przez niecki z płynem odkażającym. W hali przypominającej duży garaż oglądaliśmy pracę zgniatarki do butelek „Pet" i sześcienne, duże, ułożone w sztaple kloce zgniecionych osobno kolorowych i bezbarwnych butelek. Tak przygotowane opakowania po wodzie i innych napojach czekały na transport do zakładu kolejnego przetworzenia tego tworzywa sztucznego. Takie były początki segregacji śmieci. A najważniejsze było to, że młodzież zobaczyła ogromne ich ilości i konieczność segregacji. Było to ok. 30 lat temu. Teraz wysypisko jest zamknięte, a cały teren ogrodzony i monitorowany.

Chemia w klasie VIII rozpoczynała się od węglowodorów . Chodziłam z młodzieżą do gazowni, która mieściła się w Gniewskich Młynach. Pod koniec lat 80. stały tam piece koksowniki do odgazowywania węgla i duży okrągły zbiornik na gaz węglowy Mogłam z młodzieżą rozmawiać o zbiornikach, w których zachodziło rozprężanie gazu i pokazać „zegary" ,jak mówili uczniowie, do pomiarów ciśnienia. Później do tego zbiornika wlewano gaz płynny, przywożony z petrochemii w Puławach, a już na początku XXI wieku chodziliśmy oglądać stację redukcyjną gazu ziemnego, która znajduje się pod pomowską górką, przy ogrodach działkowych. Duże wrażenie na młodzieży wywierały informacje o drodze, jaką przebywa gaz ziemny, docierając z Ukrainy do Gniewu. Był to rurociąg codziennie monitorowany przez helikopter, który leciał ok.12 – tej godziny nad Gniewem. Zdziwienie wywoływała informacja, że gazociąg położony jest na dnie Wisły między Gronowem a Walichnowami i do Gniewu dociera „ boczną nitką" z Rudna, a główny biegnie do Tczewa i Gdańska. Każdą wycieczkę opisywaliśmy w klasie, obliczając zużycie gazu na statystycznego mieszkańca w ciągu roku.

Zawsze w maju, kiedy uczyliśmy się o białkach, organizowałam wycieczkę do Mleczarni. Jak dobra była świeża kazeina (białko z mleko), która zjadaliśmy w Gniewskiej Mleczarni. Oglądaliśmy, jak w głównej hali w dużej kadzi obracające się mieszadła przegarniały mleko. Nasza mleczarnia produkowała smaczne mleko, twaróg, śmietanę , serwatkę jako produkt uboczny i maślankę. W laboratorium w ciekawych naczyniach szklanych pokazywano nam jak wygląda badanie mleka na zawartość tłuszczu i białka. W Mleczarni było ciepło i czysto a urządzenia były wykonane ze stali nierdzewnej.

Co roku zwiedzaliśmy gniewskie ujęcie wody. Zawsze podkreślano, że Gniew ma bardzo dobrą wodę, z tej samej żyły – pokładów, z których w Morzeszczynie butelkowano i sprzedawano wodę Pery. Oglądaliśmy cały proces od wydobycia, przez oczyszczanie kiedyś na kolumnach z odpowiednim złożem filtrującym, poprzez napowietrzanie, magazynowanie w bardzo ciekawym zbiorniku do transportowania w miejską sieć wodociągową. To właśnie w gniewskim ujęciu wody mieliśmy okazję zobaczyć, usłyszeć i poczuć wszystkie efekty towarzyszące działaniu zakładów chemicznych, bo w czasie filtracji wydzielał się siarkowodór, bardzo głośno pracowały pompy i oglądaliśmy oczyszczanie złóż żwirowych z brązowych fuzli -żalaźnianego rdzawego osadu. Gdy oprowadzał nas pan J. Czapski, mieliśmy niepowtarzalną okazję zobaczyć archaiczne już urządzenie na ropę naftową, które uruchamiano w przypadku braku prądu, aby utrzymać pracę pomp transportujących wodą dla miasta. Zobaczyliśmy i usłyszeliśmy pracę tego niezwykłego urządzenia - hałasował jak traktor – i po tylu latach od wybudowania ujęcia wody przy parku był i czekał na swoje odpalenie. Dzisiaj ujęcie wody obsługiwane jest automatycznie.

Zwiedzaliśmy też cukrownię w Pelplinie. Chciałam pokazać łatwą i prostą produkcję oraz chemię w zakładach w naszej najbliższej okolicy. Wrażenie robiła wszechobecna para wodna, ciepło, hałas – stukot maszyn krojących buraki, wypłukiwanie z krajanki cukru i oczyszczanie brązowego syropu pachnącego karmelem, melasę i wytrącanie już z jasnego, czystego syropu kryształków cukru w wirnikach. A w wielkim magazynie już cisza i tylko mnóstwo worków z cukrem do samego dachu. Nie można było blisko podchodzić, bo sterty mogły się przewrócić. Pod wrażeniem wielkiej ilości wyprodukowanego cukru w trudnych warunkach starej cukrowni wracaliśmy do szkoły.

Jeździłam tez z młodzieżą oglądać pracę huty szkła w Starogardzie Gdańskim. Był to mały zakład, ale produkował dobrej jakości masę szklaną. Gdy oglądaliśmy surowce (szklarski piasek i bezbarwną bardzo czystą, lśniącą stłuczkę) zawsze była mowa o białym piasku wiślanym, który zawiera dużo krzemionki. Też wspominano o skupie butelek do powtórnej produkcji. Już wówczas padały wnioski formułowane przez uczniów, że dużo szkła u nas się marnuje. Opowiadał nam hutnik, że jakość szkła widzi w wannie z roztopioną miękką masą, a kształt naczynia zależy od szybkości, z jaką nabiera tą masę i kręcąc prętem z otworem jednocześnie wydmuchuje. Uczniów przerażała temperatura, w jakiej w dorosłym życiu niekiedy będą musieli pracować.

W każdym zwiedzanym zakładzie pracy młodzież spotykała się z ogromną życzliwością, z pracownikami, często technologami lub pracownikami działu bhp, którzy opowiadali z zaangażowaniem o produkcji i z troską o przyszły ewentualny wybór szkoły ponadpodstawowej czy ponadgimnazjalnej. Bardzo mnie cieszyło, gdy uczniowie, których uczyłam, wybierali technika chemiczne, trudne klasy biologiczno - chemiczne w LO, a potem kończyli kierunki związane z chemią na studiach.

Do dzisiaj mnie zastanawia, jak w takim małym średniowiecznym miasteczku pomieściło się tyle zakładów przemysłowych. Nie było więc w tym nic dziwnego, że brakowało mieszkańców do ich funkcjonowania i trzeba było dowozić pracowników z okolicznych wsi i miasteczek. Szkoda tylko, że tych osób nie zatrzymano tutaj.

Pani Inspektor Maria

Pani Maria Chrzanowska to urodzona Kociewianka. Pochodzi z pobliskiego Gogolewa. Swoją pierwszą pracę zawodową rozpoczęła na trenie sąsiedniej gminy – w cukrowni Pelplin, powstałej jeszcze w 1979 r. Po wojnie zakład włączono w skład zjednoczenia „Cukrownie Gdańskie" z siedzibą w Malborku. W 1971 r. przy cukrowni powstał oddział produkcji kwasku cytrynowego. Pani Maria pracowała w laboratorium. Badała m.in. wilgotnościowy ziarna i zawartość cukru w burakach. Ma za sobą 2 kampanie buraczane i jedna zbożową. Podczas jednej z nich zajmowała się badaniem składu wody ściekowej pod kątem substancji szkodliwych dla środowiska. Nie będziemy tu pisać o wynikach tych badań!

Po zamążpójściu pani Maria rozpoczęła pracę w placówce terenowej PKS oddział Tczew, która mieściła się na ulicy Gdańskiej 18. Było to dokładnie 20 czerwca 1974 r. Do Jej obowiązków należało sporządzanie list płac, opisywanie faktur oraz sprawy socjalne. Dworzec autobusowy mieścił się początkowo na Placu Grunwaldzkim. Kasa biletowa była koło banku spółdzielczego. Pracowała w niej pani Zofia Żurawska oraz pani Maria Nagórska. Potem dworzec przeniesiono na ul. Kopernika i tu kasjerkami były panie Ewa Jasińska oraz Celina Chojnacka. Stanowisko dyżurnej ruchu zajmowały w kolejności panie Magdalena Albrecht, Genowefa Wentowska oraz Ewa Kochanowska. Na dworcu znajdowała się kryta poczekalnia. PKS Gniew obsługiwał kilka linii osobowych: do Gdańska przez Rudno oraz Suchy Dąb, do Tczewa przez Rudno i Wlk. Walichnowy, do Nowego, do Smętowa, do Pelplina.

Dyspozytorem linii autobusowych był pan Bernard Giebler. PKS zatrudniał 36 kierowców, którzy jeździli na Autosanach. Pracowało także 36 kierowców tzw. towarowych, jeżdżących na Starach i Żuku, którym jeździł pan Witold Neumann. PKS zatrudniał także 20 pracowników tzw. przeładunkowych, którzy ręcznie przeładowywali towar z wagonów na samochody. Funkcjonował też dział stacjo obsługi pojazdów, zatrudniający 20 mechaników. Jego kierownikiem był pan Franciszek Gappa. Działem technicznym kierował pan Andrzej Szczepiński, który m.in. nadzorował oraz rozliczał zużycie paliwa. Kasjerką w bazie PKS była pani Maria Ogińska, rozliczająca kierowców. A ostatnim kierownikiem palcówki PKS w Gniewie był pan Jerzy Zyga. Obsługę administracyjną stanowiło 10 osób.

Warunki pracy zdecydowanie różniły się od obecnych. Pani Maria w cukrowni

Pelplin miała już do czynienia z komputerami. Przychodząc do Gniewu do pracy mogła używać jedynie liczydeł, później „kręciołków", czyli arytmometru - poprzednika kalkulatora. Arytmometr najczęściej wykonywał jedynie dodawanie i odejmowanie, natomiast mnożenie i dzielenie przez liczby naturalne wykonywało się przez wielokrotne dodawanie lub odejmowanie. Napędzany był ręcznie (korbką lub dźwignią). Pewnym osiągnięciem techniki była elektryczna maszyna licząca, która zajmowała pół biurka. A stosowane wówczas arkusze list płac rozkładały się na całe biurko.

W ramach swoich obowiązków jako socjalna, pani Maria organizowała jedno lub dwudniowe wycieczki, wyjazdy na grzyby, jagody, nad jezioro lub morze. Przygotowywała zabawy dla dzieci i dorosłych. Na wczasy pracownicze wyjeżdżano do Pobierowa nad morzem.

W 2004 roku gniewska placówka PKS została zlikwidowana. Pani Maria jak mówi: „ostania zamykałam drzwi". Przez kilka miesięcy dojeżdżała do pracy w PKS Tczew.

Dziś pani Maria Chrzanowska jest aktywną uczestniczką Gniewskiego UTW. Dba nie tylko o swoją sprawność i kondycję fizyczną, ale też rozwija pasje. Jest utalentowaną malarką, bierze udział w zajęciach rękodzieła. Pomaga też innym, m.in. działała w grupie Słodkich babeczek", piekąc ciasta dla pensjonariuszy DPS w trudnym czasie pandemii,

Cieszę się życiem

Wspomnienia pani Lucji Nawrockiej

Moje dzieciństwo, młodość i dojrzała praca zawodowa to czasy PRL-u. Urodziłam się w Opaleniu. Szkołę Podstawową ukończyłam w 1960 r. Kierownikiem był wówczas uczący matematyki pan Jan Wawrzynkiewicz, a moją wychowawczynią w VII klasie była jego żona Maria, która też uczyła nas śpiewu, akompaniując na skrzypcach. Byli to bardzo wymagający nauczyciele, ale jak się potem okazało - dobrze przygotowali swoich uczniów do dalszej nauki. Pan Wawrzynkiewicz to bardzo zaangażowany pedagog. Organizował dla dzieci wycieczki, zabawy w czasie karnawału. Po południu były zajęcia SKS, a zimą chodził z nami na sanki i narty. Sprzęt ten był na wyposażeniu szkoły. Co najmniej raz w tygodniu przyjeżdżał do nas na rowerze pan z Gniewu z kinem objazdowym i wyświetlał filmy, kroniki i bajki. Dużo było filmów rosyjskich, a kroniki opowiadały o odbudowie Warszawy. W czasie dużej przerwy uczniowie szli do kuchni, która mieściła się w piwnicy szkoły na słodką kawę zbożową lub herbatę. Jeśli chodzi o wyposażenie szkoły, to siedzieliśmy w ławkach z kałamarzami i atramentem. We wczesnych klasach pisaliśmy stalówką osadzoną na obsadce. Wiecznym piórem można było pisać dopiero w klasie siódmej.

Po szkole podstawowej razem z koleżankami złożyłam dokumenty do Zasadniczej szkoły Handlowej w Tczewie. Musiałyśmy zdawać egzaminy wstępne z języka polskiego i matematyki. Wszystkie zostałyśmy przyjęte. Ucząc się w „handlówce" mieszkałam w internacie.

Od 1 lipca 1963 r. rozpoczęłam pracę w księgowości GS w Opaleniu, który wówczas tętnił życiem. W okolicznych wioskach miał swoje sklepy, kioski i bar w centrum Opalenia. Ledwie zaczęłam pracować, to przyjechali przedstawiciele PZGS z Tczewa i zobowiązali do dalszej nauki w Technikum Ekonomicznym, gdyż w księgowości wymagane było średnie wykształcenie. Co dwa miesiące jeździła do szkoły, pisałam prace, a na koniec każdego roku były egzaminy. Od kierownictwa GS otrzymywałyśmy wtedy dużą pomoc. Na wyjazdy dostawałyśmy delegacje. W Tczewie miałyśmy opłacony pobyt w hotelu i wyżywienie w restauracji „Nadwiślańska" przy kinie „Wisła". Po ukończeniu szkoły zdobyłam tytuł technika ekonomisty. Byłam bardzo szczęśliwa, że dałam radę z nauką i dojazdami. W międzyczasie, w 1964 r. wyszłam za mąż i wtedy nie było łatwo. Mieszkaliśmy w Opaleniu z rodzicami. Rok później

urodziła się córka. I jak to na wsi – wodę nosiło się ze studni, pralki nie było. Na początku prałam na tarce, ale kiedy pojawiło się dziecko, na raty kupiliśmy pralkę „Franię".

ZMO Fama, gdzie był zatrudniony mój mąż, miała wielu pracowników, którzy przyjeżdżali ze wszystkich stron Polski. Mój mąż był także przybyszem, od 1964 r. pracował w Famie jako tokarz i dostał bezzwrotną pożyczkę na mieszkanie. Musiał podpisać zobowiązanie, że przepracuje w zakładzie co najmniej 5 lat. W 1966 roku dostaliśmy mieszkanie w Gniewie w pierwszym bloku spółdzielczym na ówczesnym osiedlu XX-lecia. Bardzo się wtedy cieszyłam, bo czas oczekiwania na mieszkanie był bardzo krótki: wpłaty dokonaliśmy w styczniu, a już w grudniu zamieszkaliśmy na trzecim piętrze w dwupokojowym lokalu z parkietem i pięknym widokiem na miasto. Wokół bloków były ogrody, a w nich rosły drzewa owocowe. Radość z posiadania mieszkania psuły problemy z jego użytkowaniem. Bloki 5 i 6 były budowane w latach 1960–1966. Tak się zdarzyło, że kiedy pomalowaliśmy ściany, to robiły się wybrzuszenia i trzeba było skuć tynki i nałożyć nowe. Każdy mieszkaniec bloku miał z tym problem. Mawiało się wtedy „cement do Żyda, a piach na tynki". Ostatnie ściany skuwane były w kuchni.

Pamiętam, że 6 grudnia pojechaliśmy do Gdańska po meble. Dostaliśmy szafę kombinowaną, tapczan, dwa fotele, stolik okolicznościowy i stół rozkładany. Meble przywiózł nam meblowóz. Kiedy wnosiliśmy je na trzecie piętro, okazało się, że takie same meble, tylko w innym kolorze kupili także sąsiedzi. Do drugiego pokoju kupiliśmy szafę trzydrzwiową, łóżeczko dla dziecka i maszynę do szycia. W kuchni królował kredens i tzw. pomocnik. Wszystko to kupiliśmy na raty.

W tym czasie były też problemy z żywnością. Masło mieliśmy tylko na niedzielę. Po mleko chodziła do sklepu z bańką. Ciasto piekłam w prodiżu. Ubranka dla dzieci szyłam sama, przerabiałam też je. Najważniejsza sprawa to opłacenie czynszu, rat, prądu i gazu. Na „życie" nie zostawało dużo. Pierwszy telewizor „Atol" kupiliśmy w 1967 r. kiedy urodziłam drugą córkę. Wcześniej chodziliśmy na telewizję do sąsiadów. Relacje z sąsiadami układały się wtedy bardzo serdecznie. Sprawy dnia codziennego to m.in. pranie. Jeden raz w miesiącu każdy lokator miał swój termin prania w piwnicy, gdzie trzeba było rozpalić ogień pod kotłem i nagrzać wody do pralki. Pranie się wygotowywało, a potem płukało się je w zimnej wodzie. Potem suszyliśmy je w suszarniach. Na Starym Mieście u pani Holweg, osoby bardzo miłej i pogodnej, korzystaliśmy z magla. Pościel i ręczniki były wymaglowywane na listek. Do dziś czuję zapach wymaglowanej bielizny. Tak się żyło w tych czasach – z dnia na dzień, od wypłaty do wypłaty. Ale było wesoło, rodziły się dzieci i daliśmy radę.

Pracowaliśmy przez 6 dni w tygodniu. Potem czas pracy w soboty skrócono nam do 13-tej. Była więc radość, że się gdzieś pojedzie lub posiedzi przed telewizorem. Latem GS organizował dwutygodniowe wczasy w Krynicy Morskiej. Obiady jedliśmy w ośrodku wczasowym, ale śniadania i kolacje – już we własnym zakresie. Mieszkaliśmy w tzw. domkach Baby Jagi, oddalonych od morza o 1 km. Gdy pogoda dopisała, to siedzieliśmy nad morzem do obiadu, a wieczorem graliśmy w loteryjkę. Raz w tygodniu odbywały się dansingi.

W latach siedemdziesiątych zachodziły już duże zmiany. Pamiętam, jak zaczęły rosnąć ceny. Trzeba było stać w długich kolejkach, zwłaszcza do rzeźnika. Te lata utkwiły mi w pamięci, bo w czerwcu urodził się mój syn, a w grudniu zaczęły się rozruchy w Gdańsku. Kiedy byłam w pracy, przyszedł nakaz jechać na przeceny do sklepów i zakładów produkcyjnych (piekarni, masarni). Skończył się wtedy czas Gomółki. Wieczorem z telewizji wystąpił I sekretarz PZPR, Edward Gierek i usłyszałam jego słowa „Pomożecie?". Ludzie krzyczeli - „Pomożemy". Aż skóra cierpła, bo wierzyliśmy, że będzie lepiej. Potem dostaliśmy dodatek do płacy, tzw. „Gierkowy".

Zmieniały się też zakłady pracy. I tak, gminne spółdzielnie były włączane do większych. Opalenie i Gniew należały do GS Tczew. Pracownicy tych placówek musieli dojeżdżać do pracy do Tczewa. Mając trójkę dzieci, poszukałam pracy w Gniewie i została zatrudniona w księgowości Famy. W tym dziale trzeba było, oczywiście dużo podliczać. Korzystało się wtedy z kalkulatora albo sumatora na wajchę z taśmą. Fama organizowała niedzielne wyjazdy na zakupy do Gdańska lub Gdyni, do delikatesów po słodycze oraz wędliny. Zaczął się wtedy okres sklepów komercyjnych i również długich kolejek.

Fama pamiętała także o dzieciach. Przygotowywała dla nich paczki na Mikołajki, organizowała zabawy przy choince. Latem wyjeżdżaliśmy do zakładowego ośrodka wczasowego w Chmielnie. Można było w nim wypożyczyć kajaki, łódki, rowery wodne.

Pod koniec lat siedemdziesiątych znowu nastały trudniejsze czasy. Docierały do nas wieści o strajkach w stoczniach i o postulatach, które miały być spełnione przez rząd. Potem przyszedł rok 1981. Nie zapomnę tej nocy, kiedy „jedynką" jechały czołgi w stronę Gdańska, aż bloki drżały. Każdy był przestraszony i myśleliśmy, że zaczęła się wojna. Stan wojenny zaczął się reglamentacją towarów, kartkami, przerwami w dostawie prądu, 20 stopniem zasilania i zimnem w mieszkaniach.

Życie toczyło się jednak dalej. Mieliśmy pracę, mogliśmy pozwolić sobie na zakup nowych mebli, ale oczywiście na raty. Mąż jako tokarz miał dużo nadgodzin, stąd też zupełnie niezłe wypłaty. Były takie tygodnie, że mistrz z działu męża przychodził po niego o drugiej w nocy, bo była pilna robota na tokarni. Produkowano wyroby do naszych stoczni. Za pracę na Dzień Stoczniowca mąż otrzymywał dyplomy i nagrody.

Tak się żyło czasach PRL w latach 60-80. Czas szybko minął. Mieszkamy w Gniewie już 56 lat. Jestem szczęśliwa, ponieważ dzieci mają swoje rodziny i nieźle sobie radzą. Lubię nasze środowisko. Cieszę się życiem. Należę do uniwersytetu trzeciego wieku. Kocham śpiew, gimnastykę, jazdę na rowerze oraz pracę na działce. Jestem babcią i prababcią. Dziękuję Bogu za to, co osiągnęłam w moim skromnym życiu.

Kocham starszych ludzi

Wspomnienia pani Reginy Łabuńskiej

Pani Regina Łabuńska mówi, że od zawsze lubiła kontakt ze starszymi ludźmi. Byli i są dla niej nieocenionym źródłem życiowej mądrości, podporą w trudnych sytuacjach, przekaźnikiem rodzinnych tradycji. Taką osobą była babcia pani Reginy, która potrafiła pięknie opowiadać, a swoimi wieloma umiejętnościami chętnie dzieliła się z innymi. Stąd też pewnie uczucie sympatii i szacunku wobec osób starszych, które towarzyszyło pani Reginie w jej późniejszej pracy zawodowej i działalności wolontariackiej.

Dorosłe życie naszej bohaterki zaczęło się bardzo wcześnie. Zaraz po ukończeniu szkoły, jako czternastolatka poszła do pracy. Została zatrudniona leśnictwie w Lipie Górze. Pracowała w lesie: sadziła drzewka, plantowała, zbierała szyszki, czyściła szkółkę. Była to ciężka praca, od której puchły ręce. Pracowała także przy żniwach. Kiedy rodzina przeprowadziła się do Nowego Dworu k. Pelplina, razem z ojcem pracowała w owczarni. Jak widać, pani Regina to prawdziwa kobieta pracująca, która żadnej roboty się nie bała.

Po ślubie razem z mężem zamieszkała w Nowym Dworze Pelplińskim. Mąż pracował w tutejszym PGR, zajmował się końmi, a pani Regina wychowywała dzieci i prowadziła gospodarstwo domowe. Do Ciepłego przeprowadziła się w 1971 r. Tu mąż dostał pracę w PGR. Pracował jako operator i traktorzysta. W umeblowaniu mieszkania pomogli jej rodzice, a teściowa podarowała żelazny piecyk do gotowania, tzw. kozę. Potem PGR kupił rodzinie westfalkę, czyli wolno stojący piec kuchenny z żeliwną płytą grzejną. Oprócz przyrządzania jedzenia westfalka pełniła również funkcję piekarnika do mięs, ciast i chleba. Do pieczenia ciast służył pani Reginie także prodiż.

Pierwsze urządzenie piorące to była zwykła tara i szare mydło. Dopiero później o czystość odzieży przez wiele lat dbała elektryczna pralka wirnikowa - „Frania". Pralkę automatyczną dzięki bratowej kupiła na przedpłaty w Starogardzie Gdańskim. Urządzenie okazało się niezwykle pechowe, jak twierdził fachowiec – pełne niedoróbek. Niesamowite było to, że po gwarancji, pralka przestała się psuć i służyła rodzinie przez długie lata. Pierwszy telewizor rodzina kupiła na raty. Był to czarno-biały lampowy Neptun. Radiomagnetofon „Marta" kupiony został w sklepie ZURT-u pana Hinca w Gniewie.

Lata osiemdziesiąte były niezwykle trudne dla Polaków. Mieli pieniądze, ale nie można było nic kupić, bo w sklepach brakowało towarów. Ludzie dowiadywali się

pocztą pantoflową, że trzeba podejść, bo akurat przywieźli do sklepu papier toaletowy, albo inny produkt. Pani Regina pamięta, jak o drugiej w nocy z Ciepłego razem z synem szła do Gniewu i stawała w kolejce po masło. Kolejki, to była ówczesna codzienność. Nawet skarpetki trzeba było wystać. W 1981 roku wprowadzono kartki na żywność. Władze określiły też, ile mięsa i wędlin mogą nabyć przedstawiciele danej grupy zawodowej.

Kiedy dzieci podrosły, pani Regina wróciła do pracy. Wcześniej skończyła kilkumiesięczny kurs organizowany przez PCK i zdobyła kwalifikacje siostry pogotowia Czerwonego Krzyża. Szkolenie prowadziły pani Adela Bistroń oraz pani Badowska. Przydzielono jej opiekę nad chorymi w Ciepłem. Pani Regina wspomina, że robiła wszystko, łącznie z rąbaniem drewna i pracą na działce. Potem jeździła do podopiecznych w Gronowie, Gogolewie, Wielkich Walichnowach, Kolonii Ostrowickiej, Dąbrówki, Rakowca, Półwsi, Piaseczna. Dojeżdżała autobusami i rowerem. Nie we wszystkich gospodarstwach była bieżąca woda, trzeba było nosić ją ze studni. Pani Regina czuła, że osoby starsze czekają na nią nie tylko po to, żeby posprzątała, zrobiła zakupy, czy ugotowała obiad, ale także po to, żeby zwyczajnie porozmawiać. Nasza bohaterka lubiła ich opowieści i wspomnienia. Po 27 latach pracy w PCK przeszła na emeryturę. Po miesiącu poczuła, że czegoś jej brakuje. Jeżdżąc w odwiedziny do przebywającego w hospicjum brata, poznała pracę wolontariuszy opiekuńczych. Widziała, jak ich obecność wpływa na poprawę samopoczucia osób tam przebywających. Kiedy nadarzyła się sposobność pracy wolontariackiej w gniewskim DPS, bez wahania zgłosiła chęć pomocy.

Taka jest pani Regina: szczera, otwarta, chętna do podjęcia każdego działania, które służy innym potrzebującym osobom. Jako, że bardzo lubi czytać – działa w Dyskusyjnym Klubie Książki przy gniewskiej bibliotece. Za swoją działalność wolontariacką została wyróżniona na Gminnej i Powiatowej Gali Wolontariatu.

Przywiodła mnie tu praca

Wspomnienia pani Teresy Koślickiej

Pani Teresa Koślicka opanowała Gniew 47 lat temu, rozpoczynając jako dietetyczka pracę w istniejącym wtedy przy ul. Gdańskiej sanatorium przeciwgruźliczym. Jego dyrektorem był doktor Malak. Dwa lata później sanatorium zostało przekształcone w Dom Pomocy Społecznej. Jego pierwszy dyrektorem była pani Jodłowska, od 1981 r. - pan Roman Kulisz, zaś w 1998 r. placówką zaczął kierować pan Mieczysław Matysiak.

Organizacja pracy gospodarczej w DPS wyglądała nieco inaczej, niż obecnie. Na terenie przylegającym do budynku głównego stały chlewnie. Trzoda chlewna karmiona była m.in. zlewkami pozostałymi z posiłków dla pensjonariuszy. Tak więc placówka posiadała własne zaopatrzenie w mięso. Po jakimś czasie Sanepid zakazał chowu i uboju zwierząt w obrębie DPS. Pani Teresa dokonywała więc zakupów bezpośrednio z masarni, mieszczącej się przy ul. Konopnickiej, a potem w sklepie mięsnym pani M. Wenta na dawnym Osiedlu XX-lecia. Warzywa, ziemniaki kupowało się bezpośrednio u rolników. W mleko DPS zaopatrywał gospodarz z Niziny Walichnowskiej. Mleko było tak tłuste, że po kilku godzinach można było zebrać z jego powierzchni sporą warstwę śmietany.

Pani Teresa początkowo zajmowała pokój na poddaszu głównego budynku. Potem, kiedy założyła rodzinę otrzymała mieszkanie w budynku administracyjnym. Lata siedemdziesiąte i kolejne dekady to czas bardzo trudny dla Polaków. Żeby wyposażyć mieszkanie w odpowiednie sprzęty trzeba było mieć tzw. znajomości lub wystać towar w kolejce. Swoje pierwsze meble pani Teresa kupiła w sklepie meblowym prowadzonym przez pana Grossę. Obecnie funkcjonuje tu sklep Slizex. Meble zostały wykonane w fabryce w Nowem. Sporo drobnego sprzętu AGD dzięki rodzinie nasza bohaterka kupiła na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku. Praktycznie każda gospodyni posiadała pralkę Franię. Wodę z pralki wylewało się ręcznie za pomocą węża. Popularnym proszkiem był IXI 65. Slogan wydrukowany na opakowaniu zapewniał, że „pierze delikatne tkaniny". Proszek był niebieski, odznaczał się przyjemnym zapachem i pienił się silnie, wywabiał również uciążliwe plamy. O proszku IXI opowiadano sobie legendy. Jedna z nich sugerowała, że jest to jedyny na świecie proszek, który nie tylko pierze, ale i prasuje. Ktoś bowiem wczytał się w napisany

maczkiem, umieszczony na opakowaniu przepis prania, który sugerował, że "po wypłukaniu odzież należy strzepnąć i wysuszyć, a prasowanie nie jest konieczne".

Pierwsza rodzima automatyczna pralka powstała w latach siedemdziesiątych XX wieku w Zakładach Zmechanizowanego Sprzętu Domowego Polar we Wrocławiu – POLAR PS 663 BIO SUPERAUTOMAT. Miała ona możliwość realizacji programu składającego się z prania wstępnego, prania zasadniczego, płukania, wirowania. Żartowano, że ówczesne gospodynie wpatrywały się w okienko pralki, jak w telewizor.

Pierwsze znane polskim rodzinom telewizory to historyczne już Rubiny. Pobierały energii jak porządne żelazko, ważyły też sporo: z 65 kilogramów, poza tym porażały: prostotą działania oraz ogniem. Mimo to śniono o nich, wystawano po nocach w kolejkach, załatwiano, używając wszelkich znajomości. Gdy trafiały do domu - świętowała cała rodzina, sąsiedzi, znajomi z pracy. Starannie okrywano je koronkowymi serwetkami i stawiano na nich najcenniejsze rodzinne skarby.

Pani Teresa zawsze lubiła czytać. Pamięta akcję z początku lat 80-tych - „Lektury z makulatury". Każdy, kto przyniósł makulaturę dostawał talony, za które można było potem kupić książki. W ten sposób na półki w mieszkaniu pani Teresy trafiła Trylogia Henryka Sienkiewicza.

W czasach PRL-u brakowało nie tylko mięsa, cukru, artykułów higienicznych, sznurka do snopowiązałek, nawet papieru toaletowego. Ale czasy te wspominamy z wielkim sentymentem. Być może dlatego, że byliśmy młodzi.

To już było

Wspomnienia pani Teresy Maliszewskiej

Pani Teresa Maliszewska urodziła się, jak mówi, w budynku obecnej plebanii w Tymawie. A że urodziła się Kociewianką, więc w tym regionie pozostała do dzisiaj i mieszka w Gniewie. Po ukończeniu szkoły średniej, nie mogła znaleźć pracy w naszym miasteczku. Podobał jej się zawód nauczyciela i w 1963 r. została zatrudniona w Szkole Podstawowej w Rudnie. Została wychowawcą klasy V. Była z tego powodu bardzo dumna. Uczyła dzieci języka rosyjskiego. Ponieważ ładnie śpiewała, dyrektor dołożył jej jeszcze muzykę w klasie II. Pani Teresa lubiła pracę z dziećmi i czuła, że dzieci obdarzają ją wielką sympatią. Niestety, zarobki nie były za wysokie. Za pierwszą wypłatę mogła kupić sobie tylko zimowy płaszcz. Postanowiła zmienić pracę, choć przykro jej było rozstawać się z uczniami. Na pożegnanie dzieci wręczyły pani Teresie swoje podobizny, aby o nich nie zapomniała. Każde zdjęcie opatrzone jest dedykacją. Ma je w swoim albumie do dzisiaj.

Kolejny etap życia to praca w Zakładach Mechanizmów Okrętowych w Gniewie. Pani Teresa twierdzi, że odpowiadała jej praca urzędnika. Zawsze lubiła dużo pisać i to jej zostało do dzisiaj. Przyjemność sprawiało jej podliczanie wyników produkcyjnych, pisanie sprawozdań. W wolnym czasie tworzyła też wiersze, skecze, scenariusze komediowych teatrzyków. Niektóre jej utwory dotrwały do dzisiaj, a potomkowie pani Teresy czytają je i są dumni ze swoje mamy, babci i prababci.

W Zakładach Mechanizmów Okrętowych pani Teresa była kobietą, która żadnej pracy na różnych stanowiskach się nie bała. Kierownicy działów byli zadowoleni z jej pracy, obdarzali ją zaufaniem. Oprócz pracy zawodowej nasza bohaterka razem z mężem Jurkiem uczestniczyła w przygotowaniu każdej uroczystości w swoim zakładzie oraz miejscu pracy małżonka – byłym T-20.

Pracując w ZMO, pani Teresa ukończyła z wynikiem bardzo dobrym dwuletnią Szkołę Policealną i zdobyła tytuł technika ekonomisty. Sama się sobie dziwiła, że mając trójkę dzieci zdecydowała się na dalszą naukę.

Co roku z całą rodziną państwo Maliszewscy korzystali z wypoczynku w zakładowych ośrodkach wczasowych w Ocyplu, Łebie i Iławie. Te czasy, niestety minęły. Pani Teresa pamięta też kolorowe pochody pierwszomajowe. Z trybun dziękowano pracownikom za dobrą pracę i wyniki.

W latach osiemdziesiątych pani Teresa zmieniła pracę. Została zatrudniona w Zakładzie Wyrobów Metalowych w Gniewie. Pracowała w księgowości. Wprowadzenie nowego sposobu naliczania płac i zmniejszenia ilości wykorzystywanego papieru potraktowano jako projekt racjonalizatorki, za co czekało panią Teresę odpowiednie wynagrodzenie.

Niestety, redukcje zatrudnienia spowodowały, że pani Teresa znalazła się na „kuroniówce". Potem została zatrudniona na robotach publicznych przy Urzędzie Miasta. Pracowała tu jako magazynier.

Choć pani Teresa Maliszewska od już wielu lat przebywa na emeryturze, to nadal jest aktywna. Działa w zarządzie Klubu Seniora „Wesoła jesień". Za swoją działalność wspólnie z mężem Jerzym na Gminnej Gali Wolontariatu w 2021 r. otrzymali tytuł Animatorów Wolontariatu.

A na zakończenie wspomnień – poetyckie CV pani Teresy Maliszewskiej.

„Kociewie i ja"

Tu się urodziła. Tu się wychowałam.
Do dnia dzisiejszego tu pozostałam.
Pracę zawodową tu także otrzymałam.
Cały jej przebieg w pamięci zachowałam.

Wkroczyłam do wieku jesieni życia.
I nadal nie mam nic do ukrycia.
Szanuję wszystkich mieszkańców Kociewia,
szczególnie seniorów, bo czuję się im potrzebna.

Uczciwą prawdę w tej książeczce piszę.
Czuję, że kto przeczyta i na to liczę.
Napisałam w jej treści to, co przeżyłam.
Poprzez doświadczenie dużo się nauczyłam.

Kupowałam w Baltonie

Wspomnienia pani Urszuli Ciechowskiej

Pani Urszula Cejrowska w Gniewie mieszka od 48 lat. Pochodzi z Wałcza, gdzie pracowała w jednostce wojskowej i tam poznała swojego męża, odbywającego wówczas służbę żołnierską.

Po przyjeździe do Gniewu pani Ula zamieszkała z mężem u teściowej, którą wspomina bardzo ciepło, podziwiając jej pracowitość i troskę o rodzinę. Właśnie ona wyznaczała rytm dnia rodziny. Wstawała bardzo wcześnie, przygotowując sobie pracę na cały dzień. Jeszcze przed śniadaniem szła po mleko do Gniewskich Młynów. Często też wyrabiała ciasto na drożdżówkę, którą potem teść zanosił do wypieku do geesowskiej piekarni. Teściowa pani Uli maszynowo robiła swetry, sukienki.

Na podwórku stały ramy do naciągania krochmalonych obrusów, firan. Klientów na taką usługę zawsze było dużo.

Po przyjeździe do Gniewu pani Ula nie pracowała, zajmowała się domem i opieką nad dzieckiem. Na obiady chodziła do Famy, w której zatrudniony był jej mąż. Zakład posiadał nie tylko stołówkę, ale też własny sklep garmażeryjny. Kiedy dzieci były trochę większe, pani Ula rozpoczęła pracę w gniewskim Elektrometalu, który początkowo mieścił się w budynku należącym do SP Nr 1 Gniew (obecnie sala gimnastyczna i żłobek). Po kilku latach została zatrudniona w tymawskim przedszkolu, którym kierowała pani Krystyna Tigielska. Na początku lat osiemdziesiątych placówka ta została zlikwidowana, a dzieci przeniesione do Gniewu, początkowo do przedszkola na ulicy Wiślanej, a potem do nowopowstałej placówki wychowania przedszkolnego na ulicy Witosa (obecnie siedziba MGOPS). W Gniewie działały wówczas dwa przedszkola: jedno na ul. Witosa, a drugie na ul. Stromej. Dzieci było dużo, nie wszystkie mogły być otoczone opieką przedszkolną.

Lata 70 ,80 i 90. to czas kultowych programów dla dzieci. Wszyscy pamiętamy „Piątek z Pankracym", „Ekran z bratkiem", „Miś z okienka", „Pora na Telesfora", „Teleranek", Zrób to sam", czy „Zwierzyniec". W czasach PRL dzieci chodziły grzecznie spać po Dobranocce, emitowanej najczęściej przed głównym wydaniem dziennika TV. Co ciekawe, Dobranocka nadawana była głównie w krajach bloku wschodniego. Do dziś wiele osób z rozrzewnieniem wspomina dawne bajki na dobranoc, jak Gąska Balbinka, Jacek i Agatka, Reksio czy Bolek i Lolek, które poddawały dzieciom pomysły, w co się bawić i jak spędzać czas na podwórku.

W 1981 roku rodzina pani Uli otrzymała mieszkanie na ulicy Witosa. Pierwsza meblościanka „Tczew" została zakupiona w pawilonie „Jubilat" w Gniewie. Meble w pokojach dzieci mąż pani Uli zrobił własnoręcznie wg wzoru wybranego z niemieckiego katalogu. Meble te były co jakiś czas przemalowywane na modne kolory. Mąż pani Uli potrafił też na maszynie zrobić z wełny spodenki, sweterki dla dzieci. A nasza bohaterka szyła dla nich ubranka. Potrafiła też uszyć dla siebie ciekawy strój. Pomysły podsuwał jej mąż, projektując np. wzór do haftu na bluzeczkę.

Pierwsza pralka – mała wirnikowa „Frania" nazywana „kawalerką". Niewątpliwą zaletą tej pralki były jej niewielkie gabaryty. Wymiary wynosiły odpowiednio: wysokość 61 cm, szerokość 35 cm, głębokość 35 cm. Potem przyszedł czas na czeską pralko-wirówkę „Romo", w której była część na pranie i druga na odwirowywanie. Przed odwirowaniem prania trzeba było jeszcze je wypłukać. Służyła do tego wanna, wypełniona woda. Pierwszy telewizor kupiony był w gdańskiej Baltonie. Była to jedyna sieć sklepów w Polsce w okresie PRL'u, wyróżniająca się kolorowym logiem

- oryginalną postacią marynarza. Marką „Baltona" oznaczane były linie produktów, m.in.: konserwy, kiełbasy, pieczywo, słodycze, a także piwo. Artykuły te charakteryzowały się długim okresem trwałości, były też synonimem dobrej jakości.

Lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku to okres, kiedy większość towarów deficytowych można było kupić na kartki. Równolegle ze sprzedażą na kartki, funkcjonował formalnie nielegalny, ale bardzo powszechny system handlu samymi kartkami - szczególnie na benzynę, papierosy i alkohol. Ludzie wymieniali się kartkami, bądź nimi handlowali. Kartki nie gwarantowały pewności ani sprawności zakupów. Najczęściej trzeba było stać w długich kolejkach. W związku z tym rozpowszechniła się instytucja stacza kolejkowego, który za określone wynagrodzenie stał w kolejce i kupował towary bądź usługi dla innych osób. Przed sklepami często zawiązywały się komitety kolejkowe, które według społecznej listy próbowały sprawnie i sprawiedliwie zorganizować nabycie deficytowych produktów. W PRL popularna była też sprzedaż wiązana. Polegała ona na warunkowaniu możliwości zakupu jednego atrakcyjnego towaru koniecznością zakupu innego towaru - nieatrakcyjnego dla klienta – tak, aby cena takiego pakietu była niższa od sumy cen poszczególnych produktów nabywanych osobno .

Polacy zaopatrywali się w deficytowe towary, jeżdżąc za granicę, czyli do tzw. „enerdowa". Gniewska „Fama" posiadała ośrodek wypoczynkowy w Chmielnie, do którego też przyjeżdżali Niemcy. W zamian za to, Gniewianie wyjeżdżali na wypoczynek do NRD, traktując go przede wszystkim jako okazję do zakupów towarów lepszej jakości. Paradoksalnie, można było przywieźć zza zachodniej granicy towary wyprodukowane w Polsce, których nie można było dostać w naszym kraju.

Dziś pani Ula nadal jest bardzo aktywna. Uczestniczy w zajęciach gniewskiego uniwersytetu, pracuje jako wolontariuszka, przygotowując posiłki dla osób potrzebujących wsparcia. Jej największym skarbem są dzieci i wnuki.